

Wprowadzono go powtórnie. Audytor przeczytał wpraw po niemiecku, a potem po rusińsku wyrok śmierci, którego oskarżony wysłuchał nie zdradzając najmniejszego wzruszenia. Na zapytanie, czy rozumiał, kiwnął tylko głową.

— Niema pan jakiego życzenia? — zapytał przewodniczący.

— Owszem, aż dwa: chciałbym napisać listy — do matki, żony i dzieci; pragnąłbym również — wyświadczyć się.

Życzenia jego spełniono. Podczas gdy audytor udał się do dowództwa korpusu po zatwierdzenie wyroku, a skazany pisał listy — kompania sztabowa wykopała grób na uboczu i sześciu najlepszych strzelców pod komendą swego porucznika stanęło w pogotowiu do wykonania wyroku. Sprowadzony ksiądz spędził ze skazanym przeszło godzinę. Czekaliśmy przed chatą. Porucznik, który prowadził obronę — jurysta, był moim serdecznym przyjacielem.

Gdyśmy się na chwilę oddalili od innych oficerów, odezwał się z namysłem:

— Nie przyznał się do winy.

— Jestem głęboko przekonany, że winien.

— Naturalnie, inaczej nie skazałbyś go.

— Ja? Dlaczego ja? — zapytałem przerażony.

— Nie bierz tego dosłownie — uspokoił mnie — ale nie masz pojęcia, jak ważną jest w tych wypadkach odpowiedź tego, którego najpierw pytają!

— Dlaczego nie spytano najpierw pułkownika?

— Zawsze wpraw pytają najniższego ranga, aby wykluczyć możliwość wywarcia wpływu przez starszych. Ale wszystko jedno, zawsze jedni wpływają na drugich.

— I ty uważasz, że ja mniej lub więcej ponoszę odpowiedzialność za to, co się tu lada chwila ma stać?

Mój towarzysz milczał.

— A gdybym go nie był uznał winnym?

— Jeśli jeden przynajmniej go nie potępił, cofniętoby go w głąb kraju, gdzie odpowiadałby przed sądem zwyczajnym.

— Nie można tego zmienić?

— Nie. Wyrok jest zatwierdzony i musi być wykonany.

— To okropne — — — — —

— Co jest okropne? — uspokajał mnie znowu towarzysz — przecież postąpiłeś zgo dnie ze swym głębokim przekonaniem i ja zresztą pewien jestem jego winy.

— Tak, tak... zapewne... ale, jeżeli jest niewinny?... ma żonę... dzieci...

— Dzielni żołnierze, którzy dzięki jego zdradzie padli przedwczoraj, wczoraj i dziś prawdopodobnie mieli również żony i dzieci...

— Tak, tak, ale wiesz, ja nie rozumiałem go, wiem tylko to, co mi przetłumaczono. A tłumaczenie... szczególnie w takim wypadku... Nietylko jest ważne co on mówił, ale i jak mówił, zresztą gdyby mówił po niemiecku, wówczas...

— Na baczność! — padła nagle komenda.

Przed chatą stanął skazaniec z księdzem i żałobny pochód ku miejscu stracenia sformował się. Na przodzie porucznik z obnażoną szpadą, za nim dwaj piechurzy, dalej ksiądz szepczący pacierze i trzymający krzyż przed oczami skazańca, który szedł pod eskortą dwóch żołnierzy; za skazanym znów dwaj żołnierze aż wreszcie komisja sądowa.

Droga nie była daleka, więc też za chwilę stanęliśmy u celu. Postawiono skazańca przed otwartym grobem, eskorta stanęła o pięć kroków od niego, porucznik z prawej strony. Audytor odczytał pośpiesznie wyrok śmierci, zawiązano oczy stojącemu spokojnie i pewnie skazańcowi, podczas gdy kapłan trzymał dłoń na jego ramieniu, szepcząc słowa pociechy.

Byłem w stanie niewypowiedzianego podniecenia. Z każdą sekundą wzrastała we mnie trwoga na myśl, że oto za chwilę zginie człowiek może niewinny i że za śmierć jego jestem odpowiedzialny.

Porucznik milcząc, podniósł szpadę. — Ksiądz odskoczył. Żołnierze wzięli na cel.

Chciałem krzyknąć: „Stój!“ gdy komendant szpadę opuścił i sześć kul przebiło skazańca.

Padł bez jęku na ziemię. Lekarz pułkowy skonstatował śmierć, zsunęto ciało do grobu i zasypano ziemią podczas gdy ksiądz kreślił znak krzyża świętego.

Oddany na pastwę wątpliwościom, nie mogłem się uspokoić.

— Był winien, czy nie?

Wzrok mój padł na modlącego się kapłana. Nagle przyszło mi na myśl, że on wiedzieć musi. Więc gdyśmy od świeżej

mogily odeszli, przedstawiłem mu się, prosząc o krótką rozmowę.

Opowiedziałem, jakich okropnych uczuć doznaję i że od niego jednego spodziewam się pomocy.

— Pan spełnił swój obowiązek — pocieszał mnie.

— Nie o to mi chodzi, Wasza Wielbność, chciałem się dowiedzieć... niech Wasza Wielbność powie mi, czy on był szpiegiem?

— Jakże ja mogę odpowiedzieć na to?

— Tylko Wasza Wielbność może o tem wiedzieć! Spowiadał się przecież. A kto się spowiada, ten nie kłamie!

Ksiądz cofnął się o jeden krok, zmierzyl mnie wzrokiem od stóp do głów i spytał surowo:

— Czy pan jest katolikiem?

— Tak — odparłem.

— Jakże pan w takim razie może mi podobne pytanie zadawać?

— Wasza Wielbność, proszę wyrozumieć mnie, wejść w moje położenie. Tylko Wasza Wielbność może mi spokój duszy przywrócić.

Ksiądz westchnąwszy głęboko, podał mi rękę.

— Niech pan się uspokoi. Bóg zabrał go z tej ziemi, aby przed swój najwyższy trybunał go powołać. Bóg jeden bowiem ma prawo wydać sąd.

Zrozumiałem i wielką czułem w sercu ulgę, gdy o zachodzie słońca wracałem na swą placówkę. On był szpiegiem, ale dla nas tylko. Dla swego zaś narodu był prawdopodobnie bohaterem, który odważnie dla dobra kraju spojrział śmierci w oczy!

Tłum. Jotsaw.

Piękno choreografji.



Uczennice szkoły plastyki i rytmiki p. M. e-czyńskiej w Warszawie podczas lekcji.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 29 sierpnia 1926 roku.

Nr. 35.

Polskiego budownictwa wieczna pamiątka.



Kościół Przemienienia Pańskiego w Strońsku pod Łaskiem. — Doskonale zachowany zabytek średniowiecznej architektury polskiej.

Teatralja.

ECHA STOLECZNE. — NOWOŚCI PARYSKIE. — TO I OWO W ŚWIECIE KULIS.

Wypadkiem teatralnym stolicy było prawdziwie wystawienie przez „Redutę“ — w dniu święta żołnierskiego arcydzieła Calderona — Słowackiego: „Niezlomnego Księcia“. Dziedzic Szkoły Podchorążych służył za tło oryginalnego widowiska, tłumy żołnierskie były wdzięcznymi słuchaczami i widzami. A obok nich oczywiście — generalicja, prasa, świat sztuki i literatury, władze miejskie. Chociaż podwórzec koszarowy nie był idealnym obramieniem rozgrywającej się tragedji, chociaż w przeczystą przędzę słów poety wplatały się natrętne echa wielkomięskiego zgiełku, mające integralność wrażeń, jednak wspaniałe dzieło literatury polskiej i światowej, z wielkich natchnień zrodzone, czyniło potężne i niezapomniane wrażenie, w czem zasługa zespołu „Reduty“ i kreującego tytułową rolę — Osterwy.

Niezwykle warunki inscenizacyjne stwarzają ogromne trudności dla odtwórców: wolna przestrzeń, akustycznymi i skupiającymi ścianami nie zamknięta, odbiera tragedji niejedyn akcent subtelny, z głębi idącego piękna. Jedynym niemal środkiem scenicznego wyrażenia, nie mówiąc o blasku płonących pochodni i towarzyszeniu muzyki, pozostaje — słowo, którem operować trzeba po mistrzowsku, aby za wszystko inne starczyło. W tem właśnie na wyżyny wspiął się Osterwa, sugestywną pełni i szlachetnością swego głosu przenosząc słuchaczów w oderwane krainy wiecześniejszej poezji, miłości bez granic, męstwa niezłomnego i dostojnego cierpienia. Dlatego też — mimo wszelkie mankamenty — widowisko przez „Redutę“ z pietyzmem zgotowane było zdaniem dziwnie odrębnym i niepowszedniem na szarem tle stołecznej kroniki teatralnej.

Sprawa Teatru im. Bogusławskiego, która ze zrozumiałych względów podnosiliśmy już niejednokrotnie, pozostaje wciąż pod znakiem zapytania. W tych dniach ukazał się oficjalny komunikat warszawskich władz miejskich, zaprzeczający kategorycznie, jakoby miały one zamiar wydzierżawić gmach Teatru na urządzenie w nim kinematografu.

Jak twierdzi komunikat, sprawą teatru im. Bogusławskiego zajmuje się dyrekcja teatrów miejskich, która jeszcze nie zdążyła „sformułować ostatecznych wniosków“. Mimo to jednak — czytamy dalej — dyrekcja teatrów miejskich prowadzi obecnie pertraktacje co do dzierżawy tego teatru. Nie wiele doprawdy zrozumieć można z tych urzędowych wynurzeń. Ze względu jednak na fakt całkiem pozytywny, że kwestją dalszych losów Teatru im. Bogusławskiego zajęły się na serjo władze rządowe, nie chcemy tracić nadziei, że ostateczne wnioski dyrekcji teatrów stołecznych wypadną po myśli najszerzych kół ludności warszawskiej i będą w zgodzie z istotnymi potrzebami nabierającej polskiej kultury teatralnej.

Dużem powodzeniem cieszy się obecnie wystawiana w jednym z teatrów paryskich komedia bliskiego sferom przemysłowym łódzkim, p. Alfreda Savoira p. t. „Le figurant de la Gaité“ („Statysta z Gaité“). Jest to raczej zreżymowana krotkoczwila o kinematograficznej niemal fakturze i perypetjach jak z bajki XX wieku. Bohaterami komedji Savoira są: skromny, cichy i nieśmiały statysta z Gaité, Lauditsch, marzący o wielkiej miłości, która przyjsć musi dla niego samego i jego zalet duchowych, oraz egzotyczna księżniczka, poszukująca niebywałych wrażeń i sensacji w stolicy świata. Ponieważ za prawdziwą princesse lointaine zajmując często jeden z foteli pierwszego rzędu w Gaité, ergo w niej właśnie upatrzył sobie fantaista i romantyk Lauditsch obiekt swych tęsknot i miłosnych pragnień.

W umiejętnym uscenizowaniu psychologicznych przeciwieństw pomiędzy Lauditschem, poszukującym prawdy miłosnej manny, a księżniczką, uganiającą się za efektownym i jaskrawym pozorem, leży głównie wartość „Statysty z Gaité“. Zastosowanie takich efektów, jak np. kilkakrotne przebieganie się Lauditscha w maskaradowe prawie stroje — dla zwrócenia na siebie uwagi księżniczki — wulgaryzuje conieco poziom komedji, lecz z drugiej strony uzmysławia mocniej i wyjaskrawia demonstrację nie savoir'owskiej zresztą tezy o względności i wielopostaciowości rzeczy dokoła nas postrzeganych.

Wspominaliśmy niedawno na tem miejscu o „jednoosobowej“ sztuce jednego z naj-

bardziej utalentowanych młodych pisarzy niemieckich, Arnolda Bronnena, p. t. „Ostpolzug“. Jak się dowiadujemy obecnie, interesująca ta nowość wchodzi już na sceny czeskie, w szczególności zaś teatr miejski w Bernie Morawskim przystępuje do wystawienia „Ostpolzugu“ w najbliższej przyszłości. Trzeba przyznać, że Czesi są bardzo ruchliwi na niwie teatralnej. Nietylko sami produkują wiele i o pokazanie tej twórczości dbają, lecz również wychwytyują zagranicą z współczesnej literatury dramatycznej, co się tylko da, a raczej, co z tych lub innych względów może wzbudzić zainteresowanie.

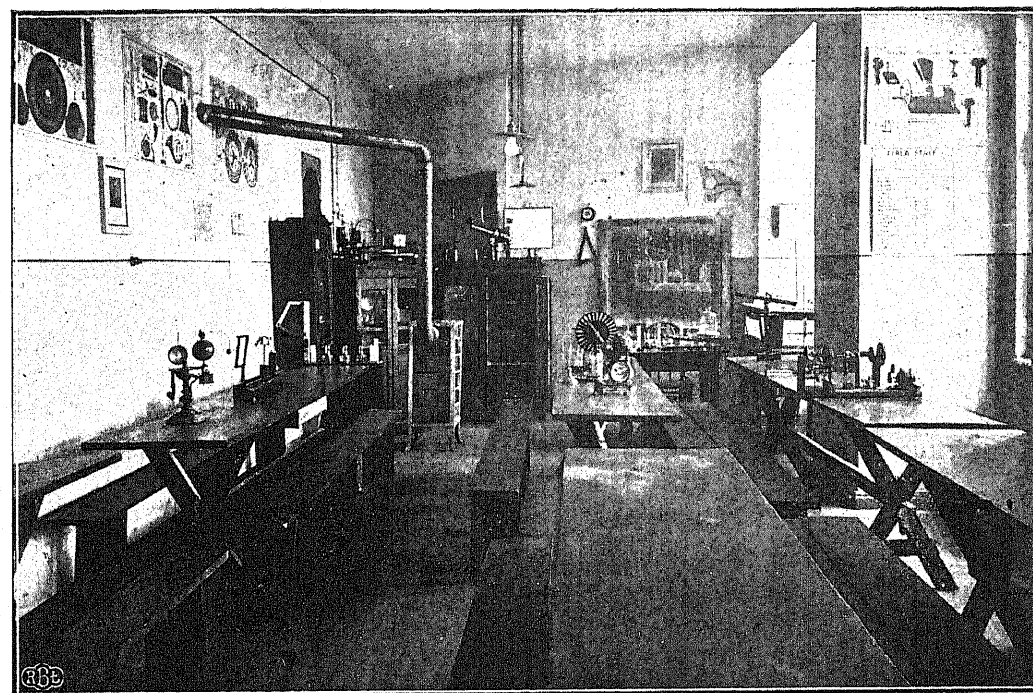
Grupa najwybitniejszych aktorów teatrów budapeszteńskich (Hegedüs, Csontos, Szerem, Horti i in.) wybiera się w dłuższe tournée artystyczne, zamierzając odwiedzić Wiedeń, Pragę, Berlin, Paryż, Londyn, Warszawę oraz większe miasta Ameryki Północnej. Nie posiadamy jeszcze informacji ani co do języka projektowanych przedstawień, ani co do ich repertuaru. Oczywiście — gdyby przedstawienia dawane były przez miłych węgierskich gości w ich języku ojczystym (a nie np. niemieckim), tak mało dostępnym i zrozumiałym dla cudzoziemców, byłoby to poważną przeszkodą dla publiczności polskiej do zapoznania się z działalnością artystów budapeszteńskich i ich bogatymi talentami. Muszą się jednak, przy dobrych chęciach, znaleźć odpowiednie środki dokładnego porozumienia.

Delta.



Sala wykładowa na kursach [gimnazjalnych] p Wierzbickiego. W dali czytelnia i biuro pracy Samopomocy koleżeńskiej

Wieczorowe kursy gimnazjalne A. Wierzbickiego.



Pracownia i gabinet fizyczny kursów.

* * *

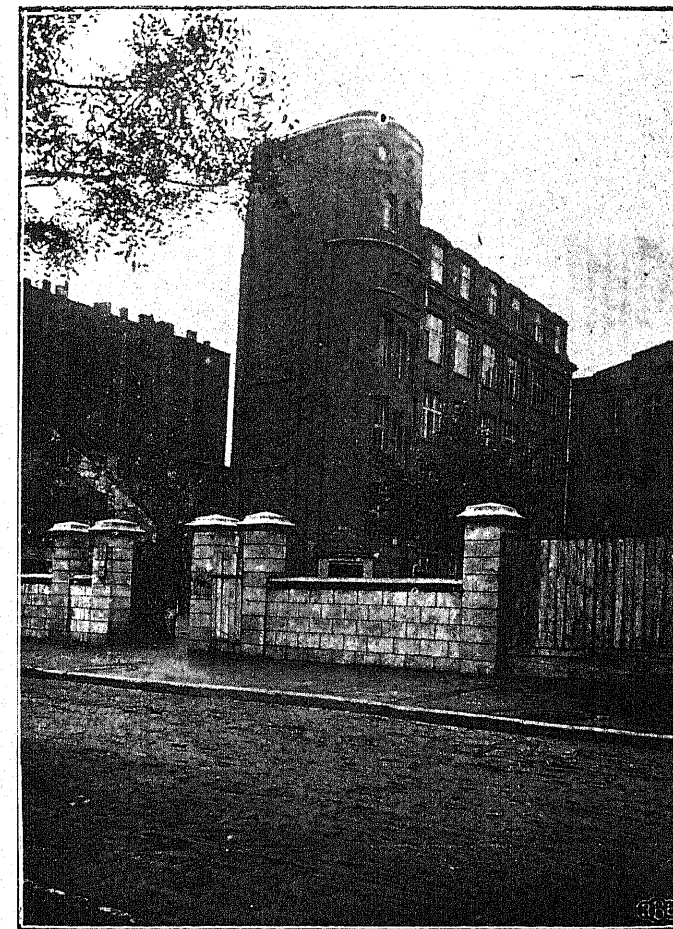
Z dniem 1 września rozpoczyna ta uczelnia po przerwie wakacyjnej swą pracę normalną. Kursy te od 6 lat egzystujące w naszym mieście, w lokalu własnym przy ulicy Piotrkowskiej 85, stały się największą tego rodzaju instytucją nie tylko w Łodzi, ale i w kraju całym, dowodem czego frekwencja uczących się, których liczba w ciągu całego czasu istnienia dosięga 6.000.

Utarło się w Polsce, iż kursy maturalne są rodzajem zbiorowych korepetycji, udzielanych przez profesorów szkół rannych dla zasilenia skromnych dochodów szkolnych. Przeciwno temu stanowisku wystąpiła dyrekcja z całą stanowczością. Nauczanie starszego pokolenia, zaniedbanego w nauce, na skutek wojny niedawnej, jak również nauczanie młodzieży, która ukończyła szkoły powszechne i doksztalać się, postawiły sobie kursy jako cel sam w sobie. Dla tych to sfer po raz pierwszy w Polsce wybudowano specjalny lokal, dla nich utworzono gabinet fizyczny i chemiczny, nie ustępujący w niczem, a nawet przewyższający pod względem wartości cały szereg szkół średnich.

Energja, z jaką specjalnie i wyłącznie dla kursów zaangażowany zespół nauczycielski oddał się pracy, spotkała się z sympatją i zapalem słuchaczy (czek), którzy masami garną się do nauki i znajdują tu całkowite moralne zadośćuczynienie.

Patrząc z perspektywy 6 lat istnienia kursów, można wskazać cały szereg osobistości, zajmujących wybitne stanowiska w życiu komunalnym, państwowym i wojskowym, a którzy stanowiska te zawdzięczają świadectwom za pośrednictwem kursów uzyskanym.

Niezależnie od tego sporo uwagi poświęciła dyrekcja wychowania młodego pokole-



Gmach kursów A. Wierzbickiego w Al. Kościuszki (Piotrkowska 85).



Coż ona podróż robotników zębatej kółki górskiej w Kordyliernach



Tor pod Dijon, we Francji po strasznej katastrofie kolejowej.



Święto kolonialne w Brukseli. Defilada stowarzyszeń belgijskich przed chorągwią narodową.



„Dance grotesque” w paryskich kabaretach nocnych.

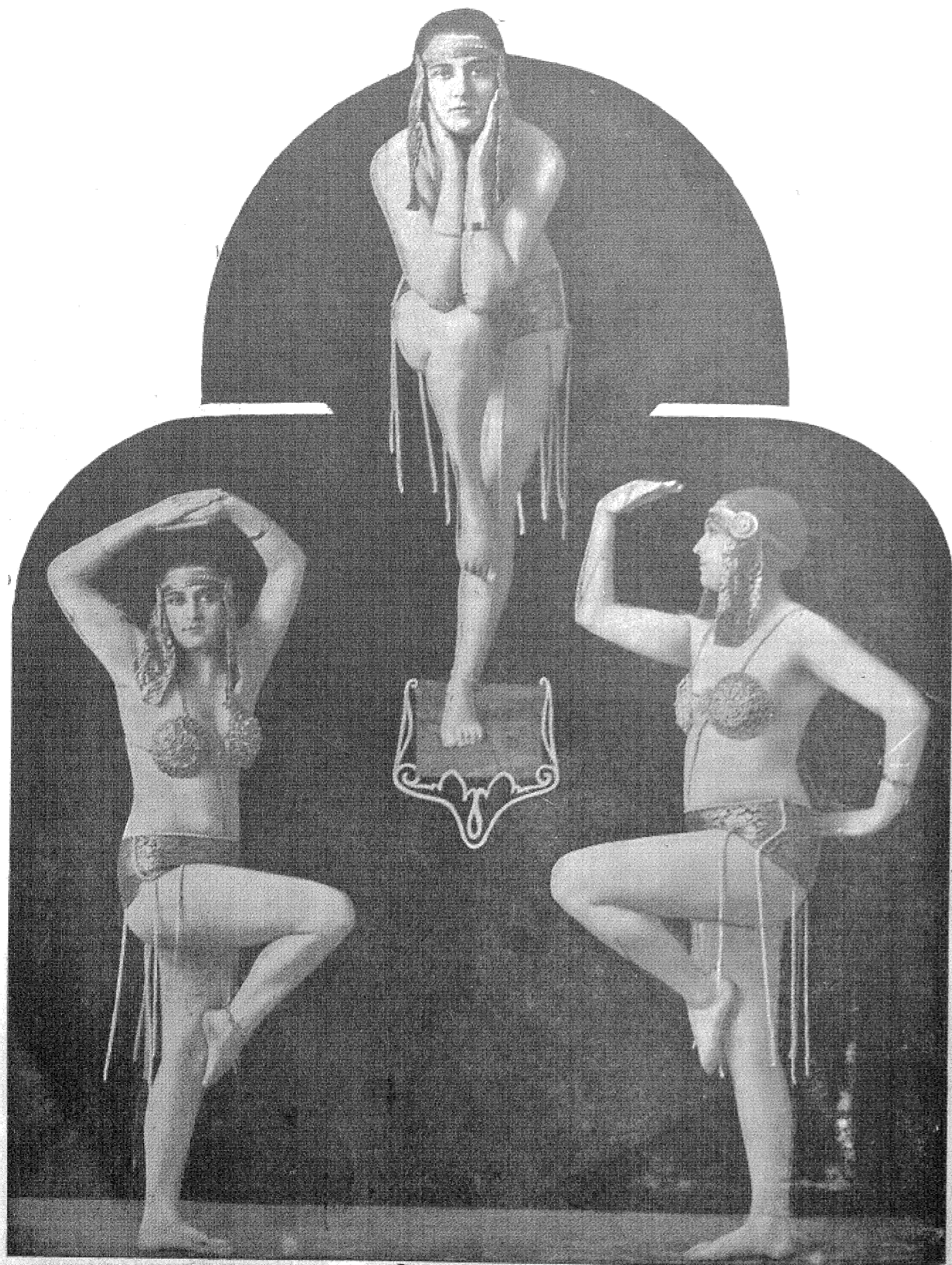


Pokaz mód w „Casino de Paris” w Paryżu.

Z „Zachęty warszawskiej”.



Utalentowana malarka, p. Rozbicka przed swymi obrazami.



Taniec przez Neronem, z najnowszej rewji paryskiego teatrzyku „Folies Bergère”.



MISS BERYL HALLEY, uważana w Ameryce za najlepiej zbudowaną kobietę w świecie. Znany artysta malarz Ernest Linnenkamp uprosił Miss Halley, aby pozowała do jego obrazu p. t. „Venus”.

Legjonista.

Uroczyste dźwięki organów zalały cicha ulicę, gdy rozwarło na oścież spiżem wykładaną bramę kościoła św. Trójcy.

W tłumie ciekawych, którzy jak żywy mur zgromadzili się po obu stronach wyłożonych dywanem schodów, rozległ się szept, zaczęto się cofać i przed naprzód — w drzwiach stanęli goście weselni. Dzwony zabrzmiały, łącząc swe donośne tony z radosnymi dźwiękami organów w jedną potęgę na symfonie.

Państwo młodzi ukazali się.

Kareta ślubna podjechała.

Marja schodziła wolno ze schodów u boku swego męża. Sto spojrzeń wnet utkwiło w postaci pięknej panny młodej, tu i owdzie dał się słyszeć szmer zachwytu. Kobiety cisnęły się.

Tylko co postawiwszy nogę na stopniu karety Marja nagle odwróciła głowę. Dlaczego? Nie umiała sobie tego wytłumaczyć. Coś ją skłoniło. Tam w głębi dwoje oczu wpatrywało się w jej postać — dwoje ciemnych, płomiennych oczu, które znała dobrze.

Nie — to nie on. Nie może być! Jego kości dawno już bieleją na pustyni. Przed ręką samą czytała doniesienie o jego śmierci. A jednak... te oczy... I uprzytomniła sobie godzinę — tę ostatnią — kiedy na nią patrzył — tak samo... temi samymi oczami, które tylko co miała przed sobą.

Kochała go.

Kiedy poraz pierwszy przed dwoma laty poznała na placu tenisowym młodego inżyniera Rolfa Eppinghofena, który ją potem odprowadził do domu, miała wrażenie że się przed nią otwierała wysoka żelazna brama przez którą wyrzała na śmiejącą się w promieniach słońca krajinę.

Słuchając jego ożywionej mowy miała przed oczami piękno świata, które on oglądał.

Pewnego dnia ojciec wezwał ją do swego gabinetu. Przed nim leżała podłużna ćwiartka papieru, na którą patrzył ponurym wzrokiem.

— Przeczytaj to — powiedział do niej, podając jej papier.

Z dziwnie trwożnym uczuciem wzięła papier do ręki. Wexsel na 10,000 marek.

— Przeczytaj podpis.

Przeczytała nazwisko swego ojca.

Ciężkim krokiem podeszedłszy do kasy, wyjął jeszcze dwa formularze.

— Spójrz na podpisy.

Wahając się rzuciła okiem na oba akcepty. I te wexsle opiewały na wysokie sufony i podpisane były nazwiskiem jej ojca.

— Razem 34,000 marek — mówił ojciec głucho, — te trzy wexsle w przeciagu czterech tygodni musiałem wykupić, gdyż zostały wystawione na moje imię. Czy wiesz kto mnie podpisał?

— Nie — odparła bezdźwięcznym głosem.

— Twój narzeczony.

Cofnęła się z przerażeniem.

— To jest fałszerz, — ciągnął ojciec dalej, — podły, nikczemny fałszerz, który się wkradł do naszej rodziny, ażeby w ten sposób zdobyć więcej środków dla swego występłego życia. Oparła się bezwładnie o ścianę.

Marja spotkała się nazajutrz z Rolfem w małej cichej cukierni. Tam pogrzebała do reszty swój dziewiczy, promienny sen złoty. Zdjął maskę i ukazał swe prawdziwe oblicze. Rysy egoisty bez serca, polującego jedynie na jej posag. Zaśmiał się szyderczym szatańskim śmiechem, który skaził jego piękne oblicze do niepoznania i mówił:

— Ośmielcie się mnie wysiedlić! Jeśli się nie boicie skandalu!... Jesteście skompromitowani... Róbcie, jak uważacie!...

Zerwała się i wybiegła nieprzytomna na ulicę.

Dnia następnego Rolf Eppinghofen znikł jak kamfora, jak kamień w wodzie.

W rok potem ojciec przyniósł jej z biura gazetę z następującą wzmianką:

— Dziecko naszego miasta, inżynier Rolf Eppinghofen, który przed dwoma laty zaciągnął się do legji cudzoziemskiej, zginął w walce z Beduinami.

Kilka dni chodziła z zapłakanymi oczami. Ale życie upomniało się o swe prawa.

Teraz była żoną innego.

Nie kochała go gwałtowną miłością. Skromny towarzysz u jej boku nie spodziewał się nawet od niej silnego uczucia, wiedząc o jej tragicznym przeżyciu. Ale miała od pierwszej chwili nieograniczone zaufanie do tego niemłodego już człowieka, oczekiwała ją pogodna i wygodna przyszłość. Czuliła się bezpieczną pod jego skrzydłem i sądziła, że z dniem ślubu przeszłość zgaśnie, zgiśnie, jak gdyby nie istniała.

Nagle wyprostowała się.

Jakiś głos z oddali zawołał: — Jestem, kochanie!

W tej samej chwili kareta stanęła.

Podczas, gdy goście uctowali jeszcze i pili zdrowie młodej pary, nowożeńcy autem zdążyli na dworzec kolejowy.

— Nürnberg!

Była to pierwsza jej stacja w drodze do Włoch.

Auto minawszy starą bramę wjazdową, skręciło we współczesną ulicę Królewska. Zaraz na prawo w morzu światła tonał hotel. Zarządzający przyjął podróżnych i zaprowadził do zamówionych zawczasu pokoi.

Tej nocy Marja miała dziwny sen. Szła ulicami Algieru. Południowe słońce olśniewając światłem zalewało ulicę, nad białymi domami unosiło się pałace powietrze pustyni. Chodziła i chodziła po długiej nie skończoności ulicy ciągle pod ognistym baldachimem południowego nieba. Wreszcie do my znikły — znalazła się nagle na pustyni.

Usłyszała za sobą tupot wielu nóg ludzkich. Obejrzała się. Oddział legionistów marszerował szybkim krokiem. Blade chore oblicza zwrócone były w przestrzeń, w półotwarte febryczne oczy tkwiły w bezkresnej dali.

Oddział zamykał chudy legionista, zdą-

żający naprzód zmęczonym krokiem. Kiedy ją miał, odwrócił głowę.

Spojrzała mu w twarz i cofnęła się z okrzykiem. To był Rolf Eppinghofen. Wpatrywał się w nią, jak gdyby nawskroś przynikał.

— Rolf! — krzyknęła i w tejże chwili obudziła się na dźwięk swego głosu.

Złote słońce śmiało się w pokoju, a za oknem ćwierkały kosy.

Tkliwy głos zapytał:

— Nie śpisz, Marjo?

— Nie — odparła drżącym głosem i jęła się szybko ubierać.

— A teraz będziemy jedli śniadanie — mówił mąż z pogodnym uśmiechem; — chodź, pojedziemy na dół do kawiarni.

Podeszli do windy. Nacisnął guzik. Usłyszeli brzęk maszyneryj i winda wolno szła w górę. Krótkie stuknięcie i winda za zatrzymała się. Obie połowy drzwi otworzyły się i windziarz odkrył głowę, uprzejmie zapraszając do wnętrza.

Wtem przeraźliwy krzyk rozległ się w całym domu. To Marja, krzyknawszy na cały głos, jak oszołomiona zatoczyła się ze wzrokiem, utkwionym w twarzy windziarza

Przed nią, w brązowym, dziwnie szamerowanym mundurze, z ciemnymi, błyszczącymi, ponuro wpatrzonemi w nią nieruchomo oczami, stał Rolf Eppinghofen, jak żywe wcielenie jej dzisiejszej mary senniej.

Mąż pochwycił mdlejącą w ramiona i patrząc trwożnie w jej przybladłe lice pytał z niepokojem:

— Co ci jest, Marjo? Co ci jest, najdroższa?

Uniosła powoli głowę i wzrok jej padł znowu na windziarza.

Ale w tejże chwili stała się rzecz niesłychana i straszna. Maszyneryja windy drgnęła, zatrzeszczała z łoskotem pękająca stal, winda znikła i zapadła się w głębię. Przeważliwy łoskot strasznego zderzenia, o krzyk, trzask stali i drzewa, brzęk szkła — a potem śmiertelna cisza.

Wśląd zatem setki dzwonek elektrycznych rozległy się w całym domu, pośpieszne kroki ludzi, biegnących po schodach i korytarzach, wołanie o pomoc, zapytania.

Dyrektor szybkim krokiem zdążył na dół — Co się stało? — zapytał mąż Marji, za trzymując biegnącego.

— Windziarz! — odparł niecierpliwie przerywanym głosem — lina pękła, windziarz zabity!

Marja wyprostowała się i wpatrując się weń oczyma nie z tego świata, pytała głosem drżącym:

— Nie wie pan... jak... jak.. nazwisko... windziarza?

Dyrektor spojrzał na nią zdumionym wzrokiem: Na co jej ta wiadomość? Osobliwie pytanie! — pomyślał — widocznie przez strach wytrącił damę z równowagi.

— Owszem — odparł uprzejmie — jakkolwiek dziś rano dopiero zaangażowałem go, dziwnym trafem zapamiętałem nazwisko: niejaki Eppinghofen.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK DO KURJERA ŁÓDZKIEGO.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 5 września 1926 roku.

Nr. 36.

Czar podmiejskich letnisk.



Fragment stawu w parku Stefańskiego w Rudzie Pabjanickiej pod Łodzią.